

Styczeń 2005

Kościół promotorem przemocy wobec kobiet?

Grudniowa wypowiedź dr hab. Magdaleny Środy, pełniącej funkcję pełnomocnika rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn, która za przemoc wobec kobiet w Polsce wini Kościół katolicki, sprowokowała wiele środowisk katolickich do wyrażenia ostrego sprzeciwu wobec takiego pomówienia. Obwinianie Kościoła katolickiego za wykroczenia wobec godności kobiety jest przedsięwzięciem o tyle wygodnym, iż Kościół był obecny w życiu społeczeństw europejskich od dwóch tysięcy lat i stąd można ludzi Kościoła – jako świadków, czy też współsprawców – uczynić winnymi za wszelakie błędy. Jest faktem, iż Kościół, towarzysząc procesom kształtowania struktur społecznych, nie zawsze dostatecznie zdecydowanie – z dzisiejszego punktu widzenia – opowiadał się po stronie krzywdzonych, w tym także kobiet. Stąd z wypowiedzi ludzi Kościoła i teologów w przeciągu tak długiego czasu bez trudu można wyłowić teksty rażące podejściem dyskryminującym, bądź fakty wrogości wobec kobiet w kontekście kościelnym i okołokościelnym. W miejsce zatem, jak to było dotychczas, pomawiania Kościoła o wywoływanie i podtrzymywanie ciemnoty ludu, o hamowanie postępu (bądź też – paradoksalnie – o współwinę za degradację środowiska!), pojawia się pomówienie o petryfikację mentalności sprzyjającej przemocy wobec kobiet. Kościół ma dosyć odwagi, by nie zaprzeczać faktom, które w jego dziedzictwie historycznym są obciążające. Za historyczne niesprawiedliwości popełnione przez ludzi Kościoła publicznie przeproszał Jan Paweł II w Roku Jubileuszowym.

Tym, co bulwersuje w wypowiedzi pani pełnomocnik jest pomówienie o aktualne podtrzymywanie przez Kościół katolicki mentalności sprzyjającej przemocy wobec kobiet. Na poparcie takiego stanowiska nie zostały przytoczone żadne konkretne fakty, czy wypowiedzi autorytetów kościelnych, które potwierdzałyby tezę pani pełnomocnik, bo ich po prostu nie ma. Fakt, iż w najnowszym nauczaniu Magisterium Kościoła nie sposób znaleźć tekstów naznaczonych jakimkolwiek brakiem szacunku dla kobiet, wydaje się być oczywiste, chyba, że ktoś uzna za takowe katolickie stanowisko dotyczące np. moralnej oceny aborcji, jak próbują to sugerować radykalne środowiska feministyczne. Aby ukazać ducha, jakim „oddychają”

współczesne wypowiedzi Magisterium Kościoła, warto wskazać choćby na kilka odnośnych fragmentów.

W opublikowanym w 1988 r. Liście apostolskim o godności i powołaniu kobiety „Mulieris dignitatem” Jan Paweł II wzywa do poszanowania godności i „geniuszu” kobiety: *„Kiedy mówimy, że kobieta jest tą, która winna doznawać miłości, aby wzajemnie miłować, mamy na myśli nie tylko i nie przede wszystkim ten specyficzny układ oblubieńczy małżeństwa. Mamy na myśli zakres bardziej uniwersalny, wyznaczony przez sam fakt bycia kobietą w całości relacji międzyludzkich, które na różne sposoby określają współistnienie oraz współdziałanie osób, mężczyzn i kobiet. W tym szerokim i wielorako rozumianym kontekście kobieta jest szczególną wartością jako osoba ludzka, równocześnie zaś ta konkretna osoba ludzka, która jest kobietą, stanowi szczególną wartość osobową ze względu na swą kobiecość. Odnosi się to do wszystkich kobiet, i zarazem do każdej z osobna kobiety, bez względu na uwarunkowanie kulturowe, w jakim żyje, niezależnie od takich czy innych jej właściwości duchowych, psychicznych czy cielesnych, jak na przykład wiek, wykształcenie, zdrowie, praca, stan małżeński czy bezżenność”* („Mulieris dignitatem” nr 29).

W jednej z najważniejszych adhortacji apostolskich swojego pontyfikatu, wydanej w 1981 r. adhortacji „Familiaris Consortio” papież piętnuje *„uporczywe nastawienie, traktujące istotę ludzką nie jako osobę, ale jako rzecz, jako przedmiot kupna - sprzedaży będący na usługach egoistycznego interesu i zadowolenia. Pierwszą ofiarą takiej mentalności jest kobieta. [...] Oprócz tego, jeszcze dzisiaj przetrwały w dużej części naszego społeczeństwa liczne formy upokarzającej dyskryminacji, które poważnie obrażają i godzą w niektóre zwłaszcza kategorie kobiet, jak na przykład mężatki bezdzietne, wdowy, kobiety żyjące w separacji, rozwiedzione oraz samotne matki”* („Familiaris consortio” nr 24).

Bezpośrednio do problemu przemocy seksualnej odnosi się wypowiedź Jana Pawła II pochodząca z opublikowanego w 1995 r. „Listu do kobiet”: *„Rozpatrując następnie jeden z bardziej delikatnych aspektów w sytuacji kobiety w świecie, jakże nie przypomnieć długiej i pełnej upokorzeń – choć tak często ‘niewidocznej’ – historii nadużyć popełnianych wobec kobiet w dziedzinie seksualnej? Na progu trzeciego milenium nie możemy pozostać w obliczu tego zjawiska bierni i niewrażliwi. Nadszedł czas, by z całą mocą potępić – stwarzając odpowiednie środki obrony prawnej – różne formy przemocy seksualnej, której ofiarą padają często kobiety. W imię poszanowania osoby ludzkiej musimy również demaskować*

rozpowszechnianie kultury seksualnej, wciągając nawet bardzo młode dziewczęta w kręgi moralnego zepsucia i prostytucji” („List do kobiet” nr 5).

Powyższe wypowiedzi Jana Pawła II wskazują na jedno ze współczesnych źródeł przemocy wobec kobiet: na mentalność propagującą instrumentalne podejście do kobiety. Rzecz ciekawa, iż odpowiedzialni za przeciwdziałanie przemocy wobec kobiet nie dostrzegają ścisłego związku między tą formą przemocy a powszechnością dostępu do pornografii. Rozpowszechnianie materiałów pornograficznych i pornowizyjnych, któremu rządzący jakoś nie mają zamiaru przeciwdziałać, oznacza promocję głęboko dyskryminującego traktowania kobiety jako przedmiotu użycia. Za podtrzymywanie tego typu mentalności odpowiedzialni są zarówno mężczyźni – producenci, a szczególnie konsumenci wpływający na podaż, jak i kobiety. Trudno założyć, iż wielkie gwiazdy porno-biznesu to jedynie ubogie kobiety z krajów rozwijających się, dla których jedynym motywem dla udziału w tym procederze jest chęć zaspokojenia podstawowych potrzeb materialnych.

Zjawisko przemocy wobec kobiet, przejawiającej się w różnych formach psychicznego poniżania i molestowania, jak też aktywnej fizycznej napaści jest faktem – zarówno w kontekście społecznym, jak i rodzinnym. Zamiast jednak uciekać się do anachronicznego przywoływania wczesnochrześcijańskich cytatów niektórych manicheizujących Ojców Kościoła, czy też średniowiecznych procesów czarownic jako dowodów winy Kościoła za to zjawisko, rządzący powinni przyrzeć się współczesnym faktorom – szczególnie przekazom medialnym –, które z jednej strony bagatelizują, a niejednokrotnie nawet promują przemoc w ogóle, a z drugiej kształtują i podtrzymują wykrzywione i instrumentalne spojrzenie na kobietę.

Luty 2005

Pandemia AIDS a stanowisko Kościoła w sprawie używania prezerwatyw

Po niedawnej wypowiedzi jednego z hiszpańskich katolickich biskupów, iż obok propagowania wierności małżeńskiej również prezerwatywy mają swoje miejsce w walce z AIDS, wiele mediów wyraziło oczekiwanie na zmianę oficjalnej opinii Kościoła katolickiego w sprawie używania prezerwatyw (a tym samym ogólnie antykoncepcji). Negatywne

stanowisko Kościoła w tej sprawie jest znane i chociaż wzbudza wiele kontrowersji, nic nie wskazuje na perspektywę jego zmiany. Papież Jan Paweł II wielokrotnie wypowiadał się w tej sprawie, potwierdzając stanowisko Pawła VI wyrażone w jednej z najbardziej oprotestowanych encyklik papieskich – ogłoszonej w 1968 r. encykliki „*Humanae vitae*”. Wszystko, co prowadzi do sztucznego (tzn. sprowokowanego przez człowieka) rozdzielania dwóch znaczeń każdego kontaktu seksualnego, *znaczenia jednoczącego* i *znaczenia prokreacyjnego*, jest zachowaniem niezgodnym z chrześcijańską etyką seksualną. Trzeba tutaj zwrócić uwagę na pewną istotną kwestię. Otóż „kontekstem etycznym” katolickiego „nie” wobec prezerwatywy i innych środków antykoncepcyjnych jest dobrowolny i świadomy kontakt seksualny, a nie np. sytuacja gwałtu, w której (bądź też w obawie przed którą) użycie środków zapobiegających poczęciu – jednak nie mających działania wczesnoporonnego! – stanowiłoby dopuszczalny element sprzeciwu wobec niesprawiedliwego agresora.

Jest sprawą oczywistą, iż kierując się takimi założeniami Kościół odrzuca stosowanie prezerwatywy również w kontekście AIDS. Również tutaj chodzi bowiem o dobrowolnie wybrany, małżeński bądź pozamałżeński seks, a fakt zagrożenia przez wirus HIV stanowi dodatkowy, chociaż oczywiście nie drugorzędny element oceny moralnej. Innymi słowy Kościół sprzeciwia się używaniu środków o działaniu antykoncepcyjnym w dobrowolnie wybranym i świadomym kontakcie seksualnym, niezależnie od dodatkowych korzyści, jakie mogłyby wynikać z ich użycia.

Przeciwnicy tego stanowiska nie stronią od ostrej krytyki Kościoła. Obok znanego skądinąd pomówienia o staroświeckość, pojawiają się zarzuty o współwinę Kościoła za pandemię AIDS, płynącą właśnie z braku akceptacji dla używania kondomów. To Papież ma rzekomo na sumieniu miliony ofiar AIDS. Absurdalności tego zarzutu nie sposób nie dostrzec. Skąd miałyby bowiem płynąć owa epokowa wina? Wystarczy jedynie zapytać o przyczynę pandemii AIDS. Rozprzestrzenia się ona przez przypadkowe kontakty seksualne z wieloma zmieniającymi się partnerami, bądź też przez zdradę małżeńską. Wierność małżeńska oraz powstrzymanie się od pozamałżeńskich i przypadkowych stosunków seksualnych doprowadziłaby do radykalnego ograniczenia nowych zachorowań. Czy jednak człowiek wierzący, który zdecydował się na tak poważne wykroczenie moralne, jakim jest przekroczenie Bożego przykazania „nie cudzołóż”, wyrażonego w jasnym i znanym powszechnie stanowisku Kościoła, nagle będzie miał wielkie problemy moralne i nie użyje prezerwatywy z powodu sprzeciwu Kościoła? Czy stanowisko Kościoła dotyczące

prezerwatyw będzie odgrywało jakąkolwiek rolę w przypadku ludzi niewierzących, dla których dowolność kontaktów seksualnych jest normalnym i akceptowanym sposobem zachowania? W którym zatem miejscu Kościół miałby być odpowiedzialny za pandemię AIDS?

Warto mimo wszystko przyrzeć się pewnej szczególnej sytuacji. Dyskutowane stanowisko Kościoła w całkiem szczególny sposób dotyka osoby złączone prawowitym węzłem małżeńskim, dla których zgodnie z nauką Kościoła kontakty seksualne stanowią istotną i ważną formę umacniania wzajemnej więzi. I właśnie w tym kontekście formułowane są pytania, czy w takich wyjątkowych przypadkach użycie prezerwatyw byłoby godziwe? Poza sporem, który toczą w odniesieniu do tej sytuacji teologowie, trzeba jednak zadać pytanie zupełnie praktyczne. Powszechnie wiadomo, iż prezerwatywy, chociaż znacznie zmniejszają ryzyko zakażenia wirusem HIV, nie są jednak w stanie go całkowicie wykluczyć. W żadnym wypadku użycie prezerwatywy nie oznacza więc – ani w odniesieniu do zapobiegania ciąży, ani tym bardziej w stosunku do możliwości zakażenia wirusem HIV – „bezpiecznego seksu”, a co najwyżej zmniejszenie prawdopodobieństwa zapłodnienia, bądź zakażenia HIV. Gdy więc egzystencjalne pragnienie podjęcia pożycia małżeńskiego uzasadniane jest miłością do małżonka, trzeba pamiętać, iż nawet, gdy przez użycie prezerwatywy zmniejszone zostanie ryzyko zakażenia do kilku procent, każdy kontakt seksualny może potencjalnie zakończyć się zakażeniem. Czy wobec faktu, że może to oznaczać wyrok śmierci, podjęcie współżycia w takiej sytuacji może być uznane za wyraz prawdziwej miłości? Oczywiście wymaganie abstynencji stanowi niewątpliwie wymaganie heroiczne, jednak jest ono analogiczne do sytuacji, w której jeden z małżonków ulega wypadkowi, bądź zostaje dotknięty chorobą, fizycznie uniemożliwiającą współżycie.

Propagowanie wiernych i uporządkowanych kontaktów seksualnych już ze statystycznego punktu widzenia stanowi znacznie lepszy sposób przeciwdziałania rozprzestrzenianiu się AIDS, niż propagowanie prezerwatyw, zmniejszających niewątpliwie ryzyko, ale nie wykluczających go całkowicie. Co więcej, propagowanie prezerwatywy pod hasłem „bezpiecznego seksu” wywołuje wrażenie pełnego bezpieczeństwa i może obniżać próg akceptacji dla przypadkowych kontaktów seksualnych, a to znacznie zwiększa możliwość zakażenia AIDS.

Dyskusja na temat używania prezerwatyw w kontekście zagrożenia wirusem HIV jest kolejną próbą rozwiązywania problemów związanych ze świadomym kształtowaniem

ludzkich zachowań i samokontrolą za pomocą środków technicznych, zgodnie z maksymą: „Mamy tutaj wspaniały preparat, za pomocą którego rozwiążesz swoje problemy. Swojego zachowania zmieniać nie musisz”. Czy jednak ta sytuacja nie powinna prowadzić do jasnej odpowiedzi na pytanie o właściwe miejsce dla aktywności seksualnej i o odpowiedzialne, a więc w pełni godne człowieka zachowanie w tej dziedzinie?

Marzec 2005

„Światy cielesne” w Polsce?

Od niedawna małe miasteczko – Sieniawa Żarska stało się obiektem wzmożonego zainteresowania mediów ze względu na plany otwarcia w nim filii laboratoriów kontrowersyjnego lekarza niemieckiego, Günthera von Hagensa. W jego dotychczasowych ośrodkach, znajdujących się w Kirgizji i w Chinach dokonuje się preparacji ludzkich zwłok za pomocą metody tzw. plastynacji. Dzięki niej znajdujące się w ludzkim ciele wilgoć i tłuszcze zastąpione zostają specjalnymi żywicami epoksydowymi i innymi substancjami chemicznymi, przez co zwłoki nie zmieniają barwy, ani kształtu i nie wydają przykrego zapachu. Przedmiotem kontrowersji jest nie tyle sama metoda, ile jej cel. Von Hagens jest bowiem autorem wystawy, którą zatytułował „Körperwelten” („Światy Ciała”, bądź „Cielesne światy”). Składają się na nią spreparowane przez niego zwłoki, ustawione w najróżniejszych pozycjach, np. na rowerze, przy stole, z przewieszoną jak płaszcz przez ramię własną skórą, itd. Wystawa wprawdzie gromadzi rzesze zwiedzających, ale spotyka się również z protestami (jak chociażby gwałtowna publiczna debata przed prezentacją wystawy w 2003 r. w Monachium, w której zarzucono von Hagensowi profanację zwłok).

Niestety, polskie media zdają się koncentrować na zupełnie innym aspekcie. Portal internetowy „Wirtualnej Polski” tytułuje doniesienie o von Hagensie słowami: „Esesmann wraca preparować zwłoki”. Tłem tego tytułu jest fakt, iż pełnomocnikiem firmy von Hagensa w Polsce jest jego ojciec, Gerhard Liebchen, który w czasie wojny był aktywistą NSDAP i członkiem SS. Fakt ten mógłby być, co prawda, źródłem dywagacji na temat skutków nazistowskiego wychowania, ale nie stanowi on sedna problemu. Niezależnie od tego, kim są krewni von Hagensa, sednem całej kontrowersji jest jego stosunek do ludzkich zwłok. Czyżby

spontaniczne odczucie, iż podejście von Hagensa do martwego ciała narusza ludzką godność, miało być jedynie wyrazem zaściankowej mentalności i konserwatyzmu, lękającego się nowych, oryginalnych pomysłów? Jako argument na rzecz działalności von Hagensa wskazuje się na inne sytuacje, w których ludzkie ciała są wystawiane na widok publiczny, jak to ma miejsce np. w muzeach z mumiami, w przypadku preparatów medycznych, czy nawet w kontekście religijnym - w przypadku relikwii.

Von Hagens ze swej strony podkreśla, iż jego wystawa ma charakter edukacyjny i ma pomóc w ukazaniu piękna ludzkiego ciała, a nawet ma ostrzegać przed ryzykami zdrowotnymi, przez pokazanie np. płuc palacza. Trudno jednak zgodzić się z takimi zapewnieniami. Edukować mogłaby wystawa modeli konkretnych osób, sporządzonych na podstawie ich zwłok, tylko, że w tym wypadku nikt by chyba takiej wystawy nie odwiedzał. Von Hagens twierdzi, iż to właśnie prawdziwość preparatów decyduje o powodzeniu wystawy – i rzeczywiście – trudno się z tym nie zgodzić. Tym, co przyciąga tłumy wydaje się jednak być nie tyle głód wiedzy anatomicznej, ile ten sam współczesny voyeuryzm, to samo oglądactwo, które stoi u podstaw popularności programów typu Reality-Show; świadomość, że oto nie mamy do czynienia z atrapą, ale z autentykiem, z prawdziwym wypadkiem, z prawdziwą krwią, z prawdziwą śmiercią.

Wydaje się jednak, iż w przypadku działań von Hagensa mamy do czynienia z przekroczeniem moralnej granicy, za którą nie można już mówić o szacunku dla ludzkiego ciała. Trudno doszukać się w wystawie von Hagensa tego samego pietyzmu, z jakim przechowuje się i udostępnia zwiedzającym relikwie świętych, bądź nawet tego samego fundamentalnego szacunku i rzeczowości, z jaką traktuje się mumie w muzeach i preparaty w klinikach medycznych. Raczej odnosi się wrażenie, iż mamy do czynienia z nową formą lukratywnego biznesu, opartego na połączeniu szokującej sensacji z dostarczającą adrenaliny rozrywką.

W styczniu 2004 r. magazyn „Der Spiegel” doniósł o przypadkach dostarczania laboratoriom von Hagensa zwłok z chińskich zakładów karnych, noszących znamiona wykonanych wyroków śmierci. Nawet jednak, gdyby te doniesienia okazały się nieprawdziwe, publikacja treści wiadomości elektronicznej z jego chińskich zakładów odśladania podejście do ludzkich zwłok, nie mające nic wspólnego z fundamentalnym szacunkiem. Przesłana von Hagensowi wiadomość zawiera zamówienie: „Do produkcji potrzebujemy następujące materiały: 1) szkielety (około 100 sztuk); 2) zwłoki kobiece bądź

kobiece miednice wraz z organami, całymi genitaliami, 3) męskie i kobiece genitalia w dobrym stanie dla przygotowania, wymiany i jako częściowe preparaty do przyszłych wystaw; 4) embriony, szczególnie z pierwszego do ósmego tygodnia ciąży”.

W specjalnym oświadczeniu z 17.02.05 r. von Hagens komentuje swoje zamiary w odniesieniu do planowanego zakładu w Sieniawie Żarskiej, twierdząc nawet, iż jego praca wkomponowuje się w tradycję chrześcijańską, szczególnie w jej pozytywne nastawienie do anatomii. „Doktor - śmierć” - jak von Hagens nazywany jest w Niemczech - tak dalece wierzy w chrześcijańskie korzenie swojej działalności, iż posuwa się do groteskowego stwierdzenia, że krytyka jego wystawy byłaby antypapieska i antychrześcijańska. Takie stwierdzenie można uznać jedynie za dosyć kiepski i niesmaczny dowcip.

Działalność von Hagensa nie jest jedynie wynikiem fantazji pojedynczego ekscentrycznego naukowca, ale zdaje się być wykwitem pewnej mentalności instrumentalizującej ludzkie ciało. W ramach tej mentalności, objawiającej się w całym szeregu form instrumentalizujących ludzkie ciało, nie posiada ono już żadnej wsobnej wartości. Nie uczestniczy w godności osoby, a staje się budulcem, rodzajem plasteliny, materiałem, który można dowolnie urabiać. Zagadnienie jego moralnego statusu sprowadzone zostaje jedynie do zasad higieny. W tym kontekście za symptomatyczne można uznać reakcje zwiedzających i zwolenników wystawy von Hagensa, szczególnie tych, którzy gotowi są zapisać mu w testamencie swoje ciała, gdyż – jak brzmi jedna z wypowiedzi – dzięki temu mogą stać się ... nieśmiertelni (!).

Dywagacji na temat dodatkowych 300 miejsc pracy, które miałyby stworzyć laboratorium von Hagensa nie trzeba komentować. Czyżby nieważne stało się to, nad czym się pracuje, a liczyć by się miała jedynie kasa?

Kwiecień 2005

Papieska „ars moriendi”

Nawet, gdyby człowiek bardzo starał się o obiektywizm i nie uleganie gwałtownym falom uczuć, nie sposób oprzeć się niezwykle silnemu wrażeniu, jakie ta śmierć wywołała. Zapewne każdy pojedynczy świadek śmierci Jana Pawła II patrzy na nią przez pryzmat

własnego wnętrza, własnych doznań oraz tego, co aktualnie w jego życiu jest istotne i ważne. Obok tego niezwykłego fenomenu, jakim jest spontaniczna reakcja świata, a przede wszystkim Polaków, warto zwrócić uwagę na coś, co można by określić ostatnią katechezą Jana Pawła II. Było to chyba najdłuższe pojedyncze pouczenie papieskie, bo trwało nieprzerwanie od godzin wieczornych w czwartek, 31.03.2005 r., gdy świat dowiedział się o gwałtownym pogorszeniu się stanu zdrowia Papieża, aż do soboty, 2.04.2005 r., do godziny 21.37, gdy Ojciec święty zmarł. Specyfiką tej najdłuższej katechezy było to, że w czasie jej trwania padło jedynie kilka słów, strzępy zdań i to przekazywane światu za pośrednictwem innych osób. Tematem tej katechezy było ludzkie umieranie.

W tej tak specyficznej katechezie Papież dotknął jednej z najbardziej nabrzmiałych ran współczesnego świata, jaką jest stosunek do ludzkiej śmierci. Została ona powszechnie wypchnięta z przestrzeni społecznej, a nawet z ludzkiej mentalności. W wielkich metropoliach świata odnosi się wrażenie, że tam się nie umiera. Agonia człowieka stała się w wielu dzisiejszych społeczeństwach jednym z największych tabu. Zmaganie się umierających z tym ostatnim aktem ich życia zostało uznane za rzecz nie tyle intymną, co niemal wstydliwą; za coś, co rzekomo odziera człowieka z jego godności i sprawia, że otoczenie nie chce być tego świadkiem, a jedyną rzeczą, która pozostaje, jest życzenie jak najszybszego zgonu, bądź nawet przyspieszenie go przez eutanazję.

To, czego byliśmy świadkami w tych dwóch dniach poprzedzających śmierć Jana Pawła II było nauką dawno już zapomnianej „sztuki umierania”. Wyrażenie „ars moriendi”, pochodzące ze średniowiecza, obejmowało pierwotnie dwa komplementarne elementy: z jednej strony właściwy stosunek do życia, a więc swego rodzaju „ars vivendi” – „sztukę życia”, a z drugiej – sztukę godnego odchodzenia z tego świata. Godnego, bo opartego o jasną świadomość, że oto nadchodzi czas, by pożegnać swoje ziemskie życie. W miarę nadchodzących doniesień o stanie zdrowia Ojca Świętego, można było dostrzec swoistą metamorfozę. Podczas gdy na początku wierni modlili się o zdrowie dla Papieża, później coraz odważniej pojawiały się głosy, iż Ojciec święty jest w agonii. Znamienna może być tutaj wypowiedź Prefekta Kongregacji Nauki Wiary, Kard. Józefa Ratzingera: „Papież wie, że umiera”. Wypowiedzi tych nie sposób przecenić. To właśnie dzięki nim modlące się tłumy musiały zmierzyć się z tym, co stanowi samo sedno owej najdłuższej papieskiej katechezy: umieranie należy do życia jako jego ostatni akt. Nie wolno go wypierać do podświadomości, okłamując umierających i samego siebie. Nie wolno unikać mówienia o umieraniu, gdy ono

nadchodzi, jakby nazwanie go po imieniu było równoznaczne z wielkim nietaktem i chłodem wobec tego, kto umiera. Nieodzownym elementem godnego umierania jest akceptacja ludzkiej kondycji: człowiek nie tylko musi kiedyś umrzeć, ale przychodzi czas, gdy owo „kiedyś” staje się teraźniejszością.

Umierając, „gasnąc pogodnie” – jak określił to jeden z kardynałów, Papież dał niedościgły komentarz do wszystkich swoich wypowiedzi na temat godności istoty ludzkiej – jak to zwykł był często określać – od poczęcia do naturalnej śmierci; komentarz na temat godności, jaką ma człowiek umierający, naznaczony chorobą i cierpieniem. Ani jednego, ani drugiego Papież się nie wstydził, chociaż coraz głośniejsz pojawiały się pytania, czy aby nie trzeba ukrywać tej słabości przed światem... Umarł tak, jak chciała tego stara chrześcijańska „ars moriendi”: we własnym domu, przyjmując ostatnie sakramenty, pożegnawszy się z najbliższymi, otoczony ludzką serdecznością, przyjmując z wdzięcznością ich ostatnią posługę – dłoń przyjaciela, która – jak świetlisty symbol – ukazuje sedno tego, co można ofiarować umierającym. Ta śmierć była daleka od heroicznego patosu. W tym, co zewnętrzne, było to umieranie, jakie mogłoby się wydarzyć w każdym chrześcijańskim domu. A jednak trudno oprzeć się poczuciu niezwykłości związanej nie tylko z faktem, że oto umarł ktoś, kogo już za życia określano przydomkiem „wielki”, ale przede wszystkim z tym, *jak* umierał. Niezwykłość tego umierania podkreślał też fakt, że pośrednikami jego świadkami były miliony, które miały słuszne wrażenie, iż czuwają przy papieskim łożu śmierci.

Ta niezwykła, ostatnia papieska katecheza streszcza się w zaproszeniu do docenienia wagi tego ostatniego aktu życia, jakim jest ludzkie umieranie. Przy całym szacunku dla intymności tego momentu, nie powinien on odbywać się w jakiejś mglistej przestrzeni między życiem a pogrzebem. Najbardziej sterylna opieka medyczna – choć niezaprzeczalnie niezbędna i mogąca świadczyć umierającym wielką pomoc – nie zastąpi towarzyszącej obecności bliskich. Między narodzinami a umieraniem zachodzi przedziwna analogia: w obu przypadkach – zarówno przy przychodzeniu na ten świat, jak i przy odchodzeniu zeń człowiek potrzebuje pomocy, potrzebuje serdecznych, dobrych rąk, które pomogą mu godnie przeżyć te kluczowe momenty życia. Społeczeństwa, w których nie ma miejsca dla umierających, ale także dla widoku ludzkich zwłok, przed którymi można pożegnać drogich zmarłych i okazać im szacunek i miłość, stają się społeczeństwami żyjącymi w zakłamaniu, gdyż do całej prawdy o człowieku należy także prawda o jego nieuchronnej śmierci, poprzedzonej zazwyczaj trudnym egzaminem, jakim jest umieranie.

Przypominanie całej prawdy o ludzkiej kondycji nie ma nic wspólnego z pogardą dla życia. Jan Paweł II dał temu swoisty wyraz w opublikowanym w 1999 r. „Liście do osób w podeszłym wieku”. W tej tak bardzo osobistej refleksji oświadczył: „Mimo ograniczeń mego wieku bardzo wysoko cenię sobie życie i umiem się nim cieszyć. Dziękuję za to Bogu! Pięknie jest służyć aż do końca sprawie Królestwa Bożego. Zarazem jednak głębokim pokojem napętnia mnie myśl o chwili, w której Bóg wezwie mnie do siebie – z życia do życia!” (nr 17). W ostatnich słowach Listu Papież zwraca się w modlitwie do Pana życia: „Gdy zaś przyjdzie chwila ostatecznego *przejścia*, pozwól, abyśmy umieli ją powitać z pokojem w sercu, nie żałując niczego, co przyjdzie nam porzucić. Kiedy bowiem po długim poszukiwaniu spotkamy Ciebie, odnajdziemy też wszystkie prawdziwe wartości, jakich zaznaliśmy na ziemi, a także tych, którzy poprzedzili nas w znaku wiary i nadziei” (nr 18).

W papieskiej „ars moriendi” nie ma cienia bagatelizowania powagi śmierci. A jednak jej ciemna rzeczywistość zostaje w przedziwny sposób opromieniona światłem wiary. Chrześcijaństwo nigdy nie bagatelizowało śmierci, poprzez negowanie jej rzeczywistego dramatyzmu, jak to ma czasem miejsce we współczesnej myśli ezoterycznej. Jednak właśnie wtedy, gdy człowiek dopuści do siebie całą przerażającą rzeczywistość śmierci, rozbłyśka niezwykłym blaskiem prawda o zmartwychwstaniu. Rozbłyśła ona w sposób szczególny także w wieczór konania Jana Pawła II. Nawet, jeżeli jest się bardzo ostrożnym w doszukiwaniu się symbolicznych znaczeń tego, co się wydarza, trudno oprzeć się mocy płynącej z okoliczności czasowych tej śmierci. Fakt, iż Papież umarł w wigilię 2 niedzieli wielkanocnej, kończącej Oktawę Uroczystości Zmartwychwstania Chrystusa, sprawił, iż w wieczór, gdy skonał i w czasie całego następnego dnia nie wolno było odprawić Eucharystii według formularza żałobnego, bo przepisy liturgiczne tego zakazują. Celebransi, sprawując Eucharystię za zmarłego Papieża, zmuszeni zostali niejako do czytania radosnych tekstów o zmartwychwstaniu i śpiewania – czasami poprzez łzy – radosnego wielkanocnego „Alleluja”.

To była rzeczywiście przejmująca katecheza – tym ważniejsza, że ostatnia. Bardzo sugestywne pozostanie także ostatnie jej słowo, podsumowujące nie tylko całe niezwykle życie tego człowieka, ale też i to ostatnie pouczenie o sztuce umierania: Amen.

Samotność papieża

Nowo wybrany papież udaje się każdorazowo do tzw. „pokoju płaczu”. Nie tylko po to, by odreagować ogromny ładunek uczuć, ale aby – jeśli tak można powiedzieć – zapłakać nad swoim losem. Zostaje bowiem obarczony ciężarem odpowiedzialności za los całego Kościoła powszechnego, a każda podjęta przez niego decyzja będzie brzemienna w skutki. Postronny, nie wprawiony w teologicznej refleksji obserwator odniesie zapewne nieodparte wrażenie, iż ma do czynienia ze sposobem myślenia właściwym dla wielkich monarchii, a więc z jakimś reliktem przebrzmiałych już dawno czasów. W epoce demokracji decyzje są przecież podejmowane kolegialnie, a wypracowane mechanizmy chronią przed autokracją. Czyżbyśmy więc w przypadku papieża mieli do czynienia z ostatnim, czekającym jeszcze na swoją reformę wspomnieniem układów monarchicznych?

Zagadnienie to należy rozważać w kontekście katolickiego postrzegania urzędu w Kościele. Chociaż przekonanie o darze Ducha św., który otrzymuje każdy wierzący stanowi jeden z filarów katolickiej teologii, to jednak równe silne jest przekonanie, iż prawda o zbawieniu, która została Kościołowi powierzona, nie jest wynikiem głosowania, nie stoi do dyspozycji. Kościół jako wspólnota wierzących, którzy otrzymali namaszczenie i oświecenie Ducha świętego, nie ma władzy nad powierzonym mu depozytem. I właśnie dlatego Kościół katolicki zachowuje strukturę hierarchiczną, której jednym z fundamentów jest jednoosobowa odpowiedzialność. Mimo istnienia wielu gremiów doradczych i ciał kolegialnych, podstawowa struktura Kościoła opiera się na osobistej odpowiedzialności kapłana, biskupa i także papieża. Nie oznacza to, że mamy tutaj do czynienia z jakimś niedostępnym innym chrześcijanom sposobem poznania prawdy, jaki miałby być udziałem kościelnych hierarchów. Przekonanie o tym, że wraz ze święceniami otrzymują oni tzw. charyzmat urzędu nie oznacza, że przestają być grzesznymi i także omylnymi ludźmi. Mimo tego ich odpowiedzialność w ostateczności nie może być rozmyta w decyzjach anonimowych gremiów i nie może się lękliwie ukrywać za głosem większości.

Chociaż Sobór Watykański II potwierdził w całej rozciągłości hierarchiczną strukturę Kościoła, jednak nie oznacza to, iż została ona w swoim szczegółowym kształcie ustalona raz na zawsze oraz że wszelkie kolegialne elementy zostały z niej ostatecznie wyrugowane. Wręcz przeciwnie. Czas posoborowy to czas ożywionych dyskusji teologicznych dotyczących

kolegialności w Kościele, współudziału biskupów w kierowaniu Kościołem powszechnym oraz współudziału świeckich w kształtowaniu Kościoła lokalnego, ale także powszechnego. Wiele dokumentów opublikowanych w czasie pontyfikatu Jana Pawła II było pokłosiem synodów biskupów, które papież zwoływał do Rzymu i które zajmowały się konkretnymi zagadnieniami, a ich obrady poprzedzone były konsultacjami w diecezjach. Wiele uwagi poświęcono także współudziałowi świeckich w kierowaniu wspólnotami lokalnymi. W tej materii na gruncie polskim pozostaje jeszcze wiele do zrobienia.

W tym kontekście interesujący okazuje się być fragment homilii Benedykta XVI z Mszy św. inaugurującej jego pontyfikat. Papież wspomina odchodzenie swojego poprzednika, Jana Pawła II, a szczególnie fakt, iż odprowadzały go na próg wieczności miliony wiernych. „Ten, kto wierzy, nigdy nie jest sam – nie jest sam ani za życia, ani w chwili śmierci”. W świetle tych słów Benedykt XVI reflektuje swój wybór na stolicę piotrową. Również kardynałowie zgromadzeni na konklawe mieli świadomość, iż nie są sami. Przeciwnie – są otoczeni, prowadzeni i kierowani przez Bożych przyjaciół. I papież dodaje: „W ten sposób również we mnie ożywa owa świadomość: nie jestem sam. [...] Nie muszę samotnie nieść tego, czego w rzeczywistości i tak samotnie nie mógłbym nieść. Wspiera mnie zastęp świętych Boga, podtrzymuje mnie i mnie prowadzi. I towarzyszy mi, drodzy przyjaciele, wasza modlitwa”. W połączeniu z deklaracją, iż swoje posługiwanie Benedykt XVI rozumie jako wsłuchiwanie się w głos Boga, a nie realizację własnych idei, słowa te mogą być odebrane jako pragnienie rozszerzenia udziału kolegialnych ciał (przed wszystkim biskupów) w kierowaniu Kościołem. Nie należy jednak oczekiwać, by urząd papieża został zredukowany do roli „rzecznika prasowego” jakiegoś gremium decyzyjnego.

Postrzeganie współudziału w kierowaniu Kościołem w kategoriach „demokratyzacji”, czy też przykładanie świeckich modeli funkcjonowania wspólnot ludzkich do struktur kościelnych, wydaje się błędne. Chociaż na pewno funkcjonowanie struktur watykańskich może być w znacznym stopniu poprawione, to jednak właśnie urząd Piotra, posługa Pasterza Powszechnego, jakim jest każdorazowy Biskup Rzymu pozwala Kościołowi na efektywne głoszenie Ewangelii w perspektywie globalnej. Osoba papieża ucieleśnia jedną z centralnych przekonań wiary katolickiej, że mianowicie Kościół ma swoje Centrum, jakim jest osoba Jezusa Chrystusa. Wokół niego gromadzą się wierzący, a jego widzialnym znakiem jest każdorazowy Pasterz Powszechny. To sprawia, że Kościół w świecie może mówić jednym

głosem, że jego stanowisko w sprawach dotyczących rodziny ludzkiej jest słyszane i nie rozprasza się w wielości głosów i poglądów.

Bez wątpienia taka centralizacja odpowiedzialności niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwa. Struktury kościelne wymagały już nie raz głębokich reform. Nie tylko dlatego, iż nie przystawały do danych czasów, ale także dlatego, iż zamiast ułatwiać, utrudniały głoszenie Ewangelii. Mimo tego jednak nie sposób nie dostrzec wielkiego błogosławieństwa, jakie płynie właśnie stąd, iż Kościół również w świecie widzialnym ma swoje centrum – każdorazowego Piotra. Od czasu do czasu dzięki temu, że jego postać staje się obiektem zainteresowania mediów całego świata, może tym bardziej odważnie i wiarygodnie być głoszona Ewangelia Chrystusa.

Czerwiec 2005

Jaka równość?

Zakaz parady gejów i lesbijek wydany przez prezydenta Warszawy wywołał ponownie społeczną dyskusję na temat „legalizacji” związków jedнопłciowych. Pojęcie „legalizacji” wydaje się być w odniesieniu do tej kwestii mało adekwatne. Związki homoseksualne nie są w Polsce nielegalne, tzn. nie są ścigane przez prawo i nikt ze względu na to, z kim dzieli swoje mieszkanie i życie, nie musi obawiać się represji ze strony państwa. Związki takie nie mają jednak przywilejów, jakimi cieszy się heteroseksualne małżeństwo. W opinii środowisk gejów i lesbijek wynika stąd nieuzasadniona „nierówność”, która może być porównywalna z każdą inną niedopuszczalną dyskryminacją (np. ze względu na rasę, wyznanie, czy płeć). Dlatego też zamierzona parada nosi nazwę „Parady Równości”. Czy jednak rzeczywiście brak specjalnych przywilejów dla par gejowskich może być nazwany dyskryminacją?

Zdaniem niektórych prawników większość udogodnień, jakich domagają się środowiska homoseksualne dla par jedнопłciowych już przy obecnym stanie prawa może być osiągnięta poprzez zawarcie prywatnych umów, na mocy których dwie dorosłe osoby regulują dotyczące ich kwestie prawne. Można się domyślać, iż środowiskom homoseksualnym nie chodzi tylko o wywalczenie zmian w ustawodawstwie, ale także – a może przede wszystkim – o taką promocję zachowań i związków homoseksualnych, aby

mogły one niejako uczestniczyć w tym samym moralnym i społecznym szacunku, jakim cieszy się małżeństwo. I tutaj tkwi jądro sprzeciwu, jaki wyraża wiele środowisk zatroskanych o los rodziny, już i tak boleśnie doświadczanej przez brak wsparcia ze strony państwa.

Argument zwolenników związków jedнопłciowych, iż homoseksualizmu nie można promować, gdyż albo się homoseksualistą jest, albo nie, wydaje się być o tyle nieadekwatny, iż do dzisiaj nie ustalono jednoznacznie etiologii skłonności homoseksualnej. Chociaż badania naukowe dają po części sprzeczne wyniki, można przyjąć, iż w jakimś stopniu będzie ona zapewne uwarunkowana bądź to genetycznie, bądź też hormonalnie (zaburzenia gospodarki hormonalnej we wczesnych stadiach rozwoju płodowego). Jednak obok tych czynników „wrodzonych” wskazuje się także na społeczne uwarunkowania tego typu orientacji seksualnej, począwszy od zaburzeń relacji rodzinnych (syna do matki, córki do ojca) we wczesnym dzieciństwie. Jeżeli rzeczywiście okazałoby się, iż na uzewnętrznienie i rozwój orientacji homoseksualnej mają wpływ czynniki społeczne, to pytanie o znaczenie i wpływ propagandy pro-gejowskiej nie będzie bez znaczenia.

Obok dyskusji na temat zasadniczej oceny etycznej zachowań homoseksualnych trzeba w kwestii prawnego uprzywilejowania tego typu związków wskazać na jeszcze jeden argument, który dotyczy także wszystkich innych związków określanych jako „partnerskie”. Chodzi o celowość takich działań w kontekście dobra wspólnego. Czy należy w imię tolerancji dla odmienności i szacunku dla osobistych preferencji zrównywać związki innego typu z małżeństwem, chociaż to ostatnie zostało uprzywilejowane ze względu na fundamentalną rolę, jaką pełni w społeczeństwie jako miejsce optymalne dla zrodzenia i socjalizacji dzieci? Gdyby chciało się przyznać analogiczne do małżeństwa przywileje związkom jedнопłciowym z racji szacunku dla wolnego wyboru obywateli, to można by postawić uzasadnione pytanie, dlaczego odmawiać analogicznych przywilejów także osobom o jeszcze innej orientacji seksualnej lub też ogólnie – nie zbudowanym na relacji seksualnej emocjonalnym związkom przyjacielskim, w ramach których osoby z różnych powodów żyją pod jednym dachem? Przyznawanie takich samych przywilejów strukturom, których wkład w dobro wspólne jest znikomy, doprowadziłoby każdy system świadczeń społecznych bardzo szybko do finansowej rupty.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na fragment w oświadczeniu organizatorów „Parady Równości”, który musi być uznany za wysoce bulwersujący. Przeciwnicy parady – ale także szerzej – przeciwnicy uprzywilejowania związków jedнопłciowych zostają w nim (wraz z

politykami PiS-u) umiejscowieniu w pobliżu odpowiedzialnych za „holokaust, pogromy i zbrodnie nienawiści”, jako ci, którzy „uważają się za [...] bardziej aryjskich”. Użycie tego typu zwrotów, kojarzonych jednoznacznie ze zbrodniami nazistowskimi. mające zwrócić całe odium oburzenia przeciw przeciwnikom związków homoseksualnych, dyskredytuje raczej ich propagatorów. Zwroty te muszą być uznane za wyraz prymitywnej propagandy, która bojąc się rzekomej „homo-fobii” nie waha się sięgać po rodzaj werbalnego „homo-terroru”. Chociaż – jak wskazują sondaże – społeczeństwo polskie w swej większości zdecydowanie odrzuca wszelkie próby prawnego uprzywilejowania związków jedнопłciowych, to jednak odrzuca także zdecydowanie wszelkie formy agresji skierowane wobec osób o orientacji homoseksualnej. Tolerancja nie może być jednak rozumiana jako zgoda na promocję i dowartościowanie każdego dowolnego sposobu życia. Tam, gdzie rodzina, będąca fundamentem zdrowego społeczeństwa jest zagrożona, tam szukanie taniej harmonii w obawie przed ostrymi sporami, byłoby po prostu tchórzostwem.

Lipiec 2005

Skandal światowego ubóstwa

Niecodzienny, rzec by można - globalny koncert Live 8, zorganizowany na początku lipca w ośmiu najbogatszych krajach świata (grupa G-8) oraz w Republice Południowej Afryki, odbywał się pod hasłem umorzenia długów najbiedniejszym krajom afrykańskim. Inicjatywa znanego muzyka Boba Geldofa zasługuje niewątpliwie na uznanie. Fakt, iż zebrane na największych scenach świata gwiazdy i zespoły wykorzystują koncerty przed wielomilionową widownią do autopromocji nie przyćmiewa w żadnym stopniu szczytnego celu, jakim jest przerwanie najbardziej gorszącego, globalnego skandalu nieprzystoitego wprost bogactwa jednych wobec śmierci głodowej drugich. Niezależnie od duchowej proveniencji i przekonań inicjatywy na rzecz redukcji nędzy na świecie, a szczególnie na kontynencie afrykańskim zataczają coraz to szersze kręgi. I coraz bardziej staje się oczywistym, że problemu tego nie da się rozwiązać programami doraźnej pomocy, akcjami pomocy dla głodujących, czy zbieraniem darów. Jest to problem strukturalny. Etap rozwoju, na którym znajduje się ludzkość, stanowi być może unikalną okazję do trwałego rozwiązania tego problemu. Proces

globalizacji gospodarki i handlu stanowi szansę stworzenia nowych struktur o zasięgu międzynarodowym, które zdołałyby wyrównać niewątpliwie niesprawiedliwy podział dóbr na świecie.

Kościół niejednokrotnie zwracał uwagę na problem światowej nędzy. Fakt, iż Afryka w planach podróży apostolskich Jana Pawła II była jednym z uprzywilejowanych kontynentów, nie był przypadkowy. Warto też wspomnieć jego nieustępliwe wołanie o międzynarodową solidarność i pomoc, które nabrało szczególnej mocy w kontekście Jubileuszu Roku 2000. W Liście podsumowującym Rok Jubileuszowy „*Novo Millennio Ineunte*” papież pisał: *„Nasz świat wkracza w nowe tysiąclecie pełen sprzeczności, jakie niesie ze sobą rozwój gospodarczy, kulturowy i techniczny, który niewielu wybranym udostępnia ogromne możliwości, natomiast miliony ludzi nie tylko pozostawia na uboczu postępu, ale każe się im zmagać z warunkami życia uwłaczającymi ludzkiej godności. Jak to możliwe, że w naszej epoce są jeszcze ludzie, którzy umierając z głodu, skazani na analfabetyzm, nie mający dostępu do najbardziej podstawowej opieki lekarskiej, pozbawieni domu, w którym mogliby znaleźć schronienie?”* (NMI, nr 50).

To, czego zasadność i prawdziwość na poziomie apeli nie budzi żadnych wątpliwości, okazuje się jednak być poważnym problemem na poziomie sposobu działania. I chociaż wszyscy zgodnie podkreślają, że elementem poprawy sytuacji powinno być niewątpliwie darowanie długów, dławiących gospodarki wielu biednych krajów świata, obserwatorzy wskazują także, iż sam akt darowania długów bez konkretnych programów pomocowych może okazać się pyrrusowym zwycięstwem. Wiele krajów ubogich rządzonych jest przez skorumpowane kręgi lokalnych oligarchów, a bieda wynika nierzadko z korupcji i przeznaczania dostępnych środków na zbrojenia i gratyfikację dla niewielkich elit związanych z miejscowymi reżimami. Mimo tych zastrzeżeń darowanie długów wydaje się być niezbędne i wobec drastyczności sytuacji przestaje już być aktem miłosierdzia, a urasta do rangi naglącej powinności.

Jednak jest jeszcze jeden, jak się wydaje o wiele bardziej podstawowy problem. Bob Geldof, organizator globalnego koncertu Live 8 skierował swoje przesłanie do przywódców najbogatszych krajów świata, sugerując, iż to właśnie „ci panowie” ponoszą całą odpowiedzialność za brak rozwiązań w kwestii światowego ubóstwa. Ta diagnoza jest jednak błędna, a przynajmniej niepełna. Aby się o tym przekonać, wystarczyłoby zapytać zgromadzone przed scenami wielkich koncertów tłumy, czy każdy z tych ludzi byłby gotów

zrezygnować z części swojego dobrobytu, uczynić krok do tyłu w dziedzinie jakości swojego życia i wygod, z których korzysta, aby ulżyć biednym? Brak takiej gotowości pokazuje się wtedy, gdy w krajach bogatych próbuje się dokonać niepopularnych zmian strukturalnych, połączonych z utratą przywilejów bądź obniżeniem zarobków. Zwracając uwagę na niewątpliwe błędy polityczne, chciwość elit politycznych, pokrętne interesy uprawiane na najwyższych szczeblach władzy, nie wolno zapominać, że to całe bogate społeczeństwa z ich rozrzutnym stylem życia ponoszą część odpowiedzialności (i także część winy!) za ciągle nierozwiązaną kwestię globalnego ubóstwa. Domaganie się od przywódców zmian strukturalnych jest zatem zaciągnięciem zobowiązania do samoograniczenia, by te zmiany umożliwić.

Już w 1986 r. obecny papież, Benedykt XVI, jeszcze jako kard. Joseph Ratzinger, zwracał uwagę na to, że problemy gospodarcze, a szczególnie te związane z dostępem do miejsc pracy muszą być rozwiązywane w kontekście nowej kultury, która *„zakłada uczestnictwo rozwijające narodowe i międzynarodowe dobro wspólne, a nie tylko obronę interesów jednostkowych, czy związkowych”* (Kongregacja nauki Wiary, Instrukcja o chrześcijańskiej wolności i wyzwoleniu, nr 84). To, co wydaje się usprawiedliwione w perspektywie lokalnej (np. strajki w celu wymuszenia podwyżek płac), może się okazać na płaszczyźnie globalnej podtrzymywaniem niesprawiedliwych struktur gospodarczych, opartych na dotacjach państwa, a przez to uniemożliwiającym ubogim krajom dostęp do globalnego handlu i spychających je w otchłań nędzy.

Dlatego obok niezbędnych i niewątpliwie godnych pochwały inicjatyw medialnych na rzecz ostatecznego rozwiązania kwestii głodu na świecie, należy podkreślić konieczność przemiany serc pojedynczych ludzi i redukcji ich aspiracji dotyczących posiadania i standardu życia. Papież Jan Paweł II wielokrotnie domagał się *„nowej wyobraźni miłosierdzia, której przejawem będzie nie tyle i nie tylko skuteczność pomocy, ale zdolność bycia bliźnim dla cierpiącego człowieka, solidaryzującego się z nim, tak, aby gest pomocy nie był odczuwany jako poniżająca jałmużna, ale jako świadectwo braterskiej wspólnoty dóbr”* (NMI 50). Przy całym szacunku i sympatii dla inicjatywy Boba Geldofa zmierzającej do redukcji głodu przez muzykę, trzeba krytycznie zapytać, czy wiwatujące pod scenami tłumy są gotowe zapłacić niezbędną cenę za globalną zmianę struktur gospodarczych?

Sierpień 2005

Londyn, 7 lipca...

Tak jedna z gazet zatytułowała artykuł na pierwszej stronie, w wydaniu, które ukazało się nazajutrz po zamachach w londyńskim metrze. Trzy eksplozje w metrze (i jedna w autobusie), które kosztowały życie ponad pięćdziesiąt przypadkowych osób, miały miejsce w porze porannego szczytu komunikacyjnego. Do przeprowadzenia zamachów w Londynie przyznała się nieznana dotąd organizacja pod nazwą Tajna Grupa Dżihadu Al-Qaidy w Europie. Nie był to pierwszy tego typu zamach. Logika islamskiego terroryzmu dopuszcza nawet odbieranie życia niewinnym, jeżeli tylko służy to sprawie, za którą terrorysta gotów jest poświęcić swoje życie.

Zamachy spotkały się ze słowami potępienia w całym świecie. Także ze strony katolickiej nie sposób jest uzasadnić tak brutalną przemoc. I to nawet wtedy, gdy człowiek widzi także poczucie krzywdy, jakie popycha zamachowca. W tym wypadku trudno mówić o bezpośredniej krzywdzie, bo zamachowcy byli obywatelami Wielkiej Brytanii, chociaż pochodzącymi z krajów muzułmańskich.

Warto w tym kontekście spojrzeć na nauczanie Jana Pawła II. Już w encyklice „*Veritatis splendor*” odrzucił on z takim samym zdecydowaniem, zarówno relatywizm moralny, jak też wszelką przemoc w sprawach sumienia, narzucanie przemocą prawdy i wszelką narzuconą przemocą indoktrynację. Bardzo ważnym tekstem, rozwijającym te wątki jest posłanie Jana Pawła II na Światowy Dzień Pokoju w 2002 r. Papież reaguje w tym posłaniu na wydarzenia z września 2001 r. Papież podkreśla wprawdzie, iż świadomy terroryzm rozprzestrzenia się na skutek niesprawiedliwego systemu gospodarczego, który dyskryminuje kraje ubogie, na skutek nierozwiązanych konfliktów politycznych (jak ten izraelsko-palestyński), jednak te realne przyczyny nie mogą być postrzegane jako usprawiedliwienie dla terroryzmu. Raczej on sam jest zbrodnią przeciwko ludzkości, a jego najgłębszą przyczyną jest błędne odniesienie do prawdy. Szczególnie jeden fragment Orędzia w sposób bardzo jasny opowiada się za wolnością od zewnętrznego nacisku:

„Terrorysta uważa, iż prawda, którą wyznaje, czy cierpienie, jakie przeszedł mają wartość tak absolutną, iż uprawniają go do zareagowania nawet niszczeniem niewinnego życia ludzkiego. Niekiedy terroryzm jest dzieckiem fanatycznego *fundamentalizmu*, który

rodzi się z przekonania, że wszystkim można narzucić własne widzenie prawdy. Tymczasem, nawet jeśli dochodzi się do uznania prawdy – co zachodzi zawsze w sposób ograniczony i niedoskonały – nie można jej nigdy narzucać. Szacunek dla sumienia drugiego człowieka, w którym odbija się obraz samego Boga (por. Rdz 1, 26-27), pozwala jedynie zaproponować mu prawdę, do niego zaś należy odpowiedzialnie ją przyjąć. Roszczenie sobie prawa do narzucania innym przemocą tego, co uważa się za prawdę, oznacza pogwałcenie godności człowieka i ostatecznie zniewagę Boga, którego jest on obrazem. Dlatego fundamentalistyczny fanatyzm jest postawą całkowicie sprzeczną z wiarą w Boga.” (nr 6).

Warto w tym kontekście przytoczyć jeszcze jedno z wcześniejszych przemówień papieża (1982), w którym stwierdza z całą stanowczością: „Przemoc wobec sumienia jest ciężką szkodą zadaną człowiekowi. Jest to najbardziej bolesny cios w godność ludzką, w pewnym sensie gorszym niż fizyczna śmierć”.

Odpowiedzią na krzywdę, której się doznaje, nie może być nigdy brutalna przemoc, bo wtedy skrzywdzony staje się sam krzywdzicielem.

Wrzesień 2005

„Przybyliśmy, by oddać Mu pokłon”

W dniu wielkiej papieskiej Mszy św., celebrowanej na kolońskich błoniach przez Benedykta XVI w obecności miliona wiernych, niemiecka gazeta „Welt am Sonntag” (nr 34, s. 3) opublikowała obszerny artykuł opatrzony podtytułem: *Na światowy Dzień Młodzieży przybyło milion ludzi, by oddać „mu” pokłon. Przynajmniej także po to*. Słowa te zdają się sugerować, że spotkanie kolońskie było wydarzeniem podobnym do rockowego koncertu, chociaż w znacznie większej skali. To, że wielu przybyłych pragnęło osobiście spotkać się z nowym papieżem, nie powinien jednak przyćmić faktu, iż powyższe słowa, stanowiące motto XX Światowych Dni Młodzieży, mają zupełnie inne znaczenie, niż sugeruje to wspomniany wyżej tytuł prasowy. Pochodzą one z mateuszowej perykopy o wizycie tajemniczych „magów ze Wschodu” (Mt 2, 1-12). W całości Ewangelii Mateusza fragment ten odgrywa dosyć istotną rolę, pokazuje bowiem diametralnie różne postawy wobec nowonarodzonego Mesjasza. „Herod i cała Jerozolima wraz z nim” oraz „arcykapłani i uczeni ludu” reprezentują

w opowiadaniu o wizycie magów tych, którzy dzięki znajomości Tory powinni byli rozpoznać nadchodzącego Mesjasza. Jednak ich jedyną reakcją był lęk i pragnienie wyeliminowania problemu przez eliminację rzekomego konkurenta. Tajemniczy przybysze ze Wschodu, których Mateusz określa słowem *magoi*, są jakby zupełnie z innej gliny. Obdarzeni niezwykłą intuicją, która pozwala im rozpoznać gwiazdę Mesjasza, mają dosyć determinacji i siły, by za nią podążać. Oddanie pokłonu Dziecięciu, rozpoznanemu przez magów mimo braku zewnętrznych oznak Jego statusu, jest gestem uznania Prawdy, która przemienia życie. Przemieniła także ich życie na tyle, że „inną drogą wrócili do swojej ojczyzny” (Mt 2, 12).

Trudno mieć za złe laickim mediom, że nie potrafią wydobyć całej religijnej głębi tego tekstu, a także wydarzenia, którego stał się on inspiracją, jednak spłykanie kolońskiego spotkania do rangi zlotu fanów siwowłosego „guru” z Rzymu świadczy raczej o płytczynie sztuki dziennikarskiej, niż o wybaczalnej nieznajomości sensu wiary katolickiej. Tłumy wiernych, nawet jeżeli przyszły, by spotkać się z papieżem, na pewno nie przybyły, by oddawać mu pokłon, ale by razem z nim próbować podążać śladami magów ze Wschodu i oddać pokłon Bogu.

Perykopa o magach, będąca częścią tzw. Ewangelii Dzieciństwa od początków chrześcijaństwa inspirowała malarzy i poetów. Pokłon magów, czy też „trzech króli” – jak w nawiązaniu do Ps 72 oraz Iz 60, 1-6 chce chrześcijańska tradycja – stanowił zawsze synonim nie tylko pewnego pojedynczego gestu adoracji, ale raczej postawy obejmującej całe życie człowieka – postawy adoracyjnej. Benedykt XVI w czasie spotkań z różnymi grupami wiernych w Kolonii, starał się wydobyć z tej perykopy całą jej głębię. Jak poświęcony Janowi Pawłowi II dzwon, który zabrzmiał w wigilię poprzedzającą centralną eucharystię Dni, jego następca starał się powtórzyć i sprecyzować wołanie wielokrotnie powtarzane przez zmarłego papieża: *Duc in altum! – Wy płyn na głębię!*

Benedykt XVI jest na pewno inną osobowością, niż Jan Paweł II i wszelkie próby porównywania emocjonalnej intensywności jego spotkania z młodzieżą muszą okazać się chybione. Zresztą i on sam nie sprawia wrażenia, jakby chciał naśladować zmarłego papieża, czy też próbować za wszelką cenę okazać się „cool” w oczach młodych ludzi. Za to w bardzo sugestywny sposób wskazuje na potrzebę pogłębienia wiary, na potrzebę postawy adoracyjnej. Niektórzy komentatorzy rozmawiający z uczestnikami XX Światowych Dni Młodzieży, wskazywali na pewien godny odnotowania fakt. Wielu młodych ludzi mówiło nie tyle o atmosferze spotkania, ile o pojedynczych zdaniach papieża, które utkwiły im w

pamięci. I wydaje się, że właśnie tego najbardziej potrzeba dzisiaj Kościołowi: ludzi świadomych swojej wiary, którzy według niej kształtują swoje życie.

Nie oznacza to, iż cała zewnętrzna oprawa papieskiej wizyty stanowiła nieistotny dodatek. Wiara katolicka nie jest abstrakcyjnym uznaniem za prawdę pewnych zasad, nie jest to jedynie operacja umysłowa. Chrześcijanin wierzy całym sobą, a przede wszystkim wierzy we wspólnotę. Dlatego też spotkania, w czasie których ludzie wierzący doświadczają wspólnoty wiary, wraz ze wspólną modlitwą, wspólnym śpiewem i tańcem, wspólną przeżyć i wrażeń, ale także wspólną stołu i gościnnością, są w procesie pogłębienia wiary nie mniej istotne, niż rozszerzanie wiedzy religijnej.

Spotkanie młodych z Benedyktem XVI może oczywiście być – i często bywa – postrzegane jak każde inne spotkanie ludzi o podobnych poglądach, jak koncert fanów pewnego gatunku muzyki. I być może wielu pielgrzymów tak właśnie traktowało to spotkanie. Mimo to nie sposób nie dostrzec jego religijnej głębi, będącej nie tyle efektem charyzmatycznego oddziaływania religijnego przywódcy, ile „oddechem” niewidzialnej rzeczywistości, którą on reprezentuje i która ukształtowała jego osobowość. Joseph Ratzinger zawsze pragnął być „współpracownikiem Prawdy”, jak głosi jego biskupie hasło. Niejednokrotnie też dowiódł, iż w imię obrony i głoszenia tej Prawdy gotów jest płacić wysoką cenę i ponosić straty. Owoce kolońskiego spotkania pokażą, na ile „pokolenie JP2” zrozumiało papieskie przesłanie i na ile jest ono gotowe – śladem tajemniczych magów ze Wschodu – przyjść do Jezusa i oddać Mu pokłon.

Październik 2005

Obowiązek uczestnictwa w wyborach?

Zazwyczaj uczestnictwo w wyborach pojmuje się w kategoriach przywileju. Zwłaszcza dla tych, którzy z racji wieku uczestniczą w wyborach po raz pierwszy, są one specyficznym znakiem dojrzałości do współdecydowania. Mówienie w kontekście wyborów o „obywatelskim obowiązku” wielu ludziom kojarzy się z komunistyczną przeszłością, gdzie to właśnie nie pójście do wyborów, które i tak były sfingowane, uchodziło za wyraz odwagi cywilnej. Spełnianie tego „obywatelskiego obowiązku” było raczej oznaką konformizmu i

uległości wobec zakłamanego systemu. Jednak, chociaż czasy te należą już do przeszłości, we wrześniowych wyborach parlamentarnych ponad połowa obywateli Rzeczypospolitej nie skorzystało ze swojego prawa do współdecydowania.

Niskie uczestnictwo w wyborach pokazało niepokojącą tendencję wycofywania się obywateli ze współudziału w kształtowaniu rzeczywistości politycznej kraju. Uzasadnienia tej absencji bywały różne. Chociaż jednak przysłowiowa już kłótność, afery korupcyjne i prywata polskich polityków mogą szeregowego obywatela mocno irytować, wydaje się, iż tego typu argumenty są raczej tanimi wymówkami.

Obojętność wobec tego, jak i przez kogo będzie kształtowana polityka kraju, zdaje się mieć głębsze przyczyny. Z jednej strony należy do nich nieustannie pogłębiająca się indywidualizacja i prywatyzacja postaw, połączona z podskórnym egoizmem. Liczy się to, co mnie bezpośrednio dotyczy, co da się przeliczyć na natychmiastowe zyski i straty. Szerszy kontekst osobistego życia, a więc całokształt warunków, kształtujących państwową rzeczywistość, czyli to, co w katolickiej nauce społecznej zwykło się określać jako dobro wspólne, znika z pola widzenia i przestaje interesować. Nie mówiąc już o myśleniu w kategoriach przyszłości narodu i dalszych pokoleń, które jest postrzegane jako całkowicie abstrakcyjne. Jest jednak jeszcze druga przyczyna, która nie jest związana z osobistym, błędnym i moralnie nagannym wyborem. Wielu ludzi deklaruje całkowity sceptycyzm co do tego, że ich głos może cokolwiek zmienić. Współczesna rzeczywistość, w której na każdym kroku i w każdej dziedzinie człowiek jest konfrontowany z faktem, że decyzje zapadają gdzieś daleko (bądź na „wyższych” szczeblach) i są podejmowane niezależnie od woli jednostek, skłania ludzi do postawy rezygnacji wobec faktycznych, bądź wyimaginowanych „maszynerii” władzy. Dzieje się tak nie tylko w obszarze polityki, ale coraz częściej także gospodarki. Ulegając jednak takiej mentalności człowiek zgadza się na odgrywanie roli niemego dostarczyciela podatków i konsumenta, a więc pasywnego uczestnika życia społecznego. Jeżeli odgrywanie tej roli z czasem przeradza się w mentalność, wtedy bardzo szybko mamy do czynienia z nową formą zniewolenia, w której postawy, a nawet oceny moralne są kreowane gdzieś „na górze”, a pojedynczy obywatel nie ma odwagi, by podejmować niezależne decyzje i zaczyna myśleć i działać tak, jak „wszyscy robią”.

Mentalność taka jest nie do pogodzenia z impulsami płynącymi z Ewangelii Jezusa Chrystusa. Za błędną musi być uznana taka jej interpretacja, która nawołuje do ucieczki od świata i pozostawienia spraw doczesnych innym. Przy całej uzasadnionej krytyce patologii

pojawiających się u rządzących, nie sposób odpowiedzialnie twierdzić, że polityka sama w sobie jest brudna. Obecność w życiu politycznym wynika z poczucia współodpowiedzialności za kształt świata. Ucieczka od udziału w tym dziele przemiany świata w świetle Ewangelii musi być uznana za odmowę współdziałania z Bogiem w dziele zbawienia. Bo chociaż Bóg potrafi bezpośrednio ingerować w dzieje świata, jego zwyczajnym sposobem wpływania na rzeczywistość jest działanie poprzez ludzi.

Wydana w 2002 r. przez Kongregację Nauki Wiary Nota doktrynalna, dotycząca udziału katolików świeckich w życiu politycznym podkreśla z naciskiem: *„Gdy wierni świeccy wypełniają wspólne powinności obywatelskie, kierując się głosem sumienia chrześcijańskiego oraz zgodnie z wartościami, które ono dyktuje, spełniają także właściwe sobie zadanie ożywiania duchem chrześcijańskim porządku doczesnego, respektując jego naturę i prawowitą autonomię oraz współdziałając z innymi obywatelami z właściwą sobie kompetencją i na własną odpowiedzialność. Z tego fundamentalnego nauczania Soboru Watykańskiego II wypływa wniosek, że «świeccy nie mogą rezygnować z udziału w 'polityce', czyli w różnego rodzaju działalności gospodarczej, społecznej i prawodawczej, która w sposób organiczny służy wzrastaniu wspólnego dobra», a która obejmuje umacnianie i obronę takich dóbr, jak porządek publiczny i pokój, wolność i równość, poszanowanie życia ludzkiego i środowiska, sprawiedliwość, solidarność itd.”* (Nota doktrynalna, I). Dlatego też istnieje nie tylko obywatelski, ale także chrześcijański obowiązek uczestniczenia w wyborach.

Trzeba ze wszystkich sił przeciwdziałać mentalności typu „cóż to zmieni?” To właśnie poprzez taką mentalność chrześcijanie potulnie zgadzają się na niezgodne z Ewangelią zachowania i wartościowania, bez sprzeciwu je akceptują, a nawet sami im ulegają, pielęgnując w sobie świadomość bycia jedynie trybikiem w wielkiej maszynie otaczającego świata. Bardzo szybko zapomina się, że wielkie przemiany w historii świata dokonywały się dzięki uporowi i determinacji jednostek. W dzisiejszej sytuacji świata, ale i polskiego społeczeństwa należy dowartościować niezwykle istotną cnotę obywatelską, jaką jest odwaga cywilna. Polega ona m. in. na tym, że człowiek nie godzi się na bycie jedynie niemyym konsumentem, którego zachowanie jest istotne w przewidywaniu popytu i podaży. Chrześcijanin powinien usilnie starać się działać zgodnie z własnym sumieniem, nawet, jeżeli jego otoczenie postępuje zupełnie inaczej. Prawe, chrześcijańskie sumienie nie będzie miało w kwestii wyborów cienia wątpliwości: głosowanie jest moralnym obowiązkiem.

Listopad 2005

Biada słabym!

Nie wiadomo jeszcze, czy pielęgniarki z Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka i Matki w Katowicach faktycznie przyczyniły się do śmierci małego Mateusza. Nawet jednak, gdyby tak nie było, fakt, iż wykorzystywały go (i inne wcześniaki) jako rekwizyty do zdjęć, słusznie wywołał falę oburzenia. Odnosi się wrażenie, iż dopiero reakcja powszechnego potępienia obudziła w tych pielęgniarkach głos sumienia i ukazała im prawdziwy wymiar tego, co się stało. Trudno zrekonstruować motyw działania tych dwóch kobiet. Tym trudniej, im bardziej oczywiste wydawało się to, iż pielęgniarkom można bez cienia wątpliwości powierzyć życie i zdrowie chorego człowieka. Zapewne motywem ich działania nie było jakieś szczególne okrucieństwo. Raczej mamy tutaj do czynienia z ekstremalnym przypadkiem braku wrażliwości u personelu medycznego. Abstrahując od niewątpliwie tragicznego kontekstu tego konkretnego wydarzenia, warto spojrzeć na szerszy kontekst całej sprawy.

Zawody związane z medycyną można by określić jako zawody „powszechnego zaufania”. Udając się do szpitala nikomu nie przyjdzie do głowy pytać, czy jego zdrowie czy nawet życie może być zagrożone przez świadome działanie bądź zaniedbanie personelu medycznego. Co najwyżej można mówić o lepiej lub gorzej wykształconych lekarzach i pielęgniarkach, o bardziej, bądź mniej grzecznym personelu medycznym itp. To powszechne zaufanie jest wartością, której nie sposób przecenić. Wskazuje ono na to, iż zawody medyczne w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa są służbą człowiekowi i to właśnie człowiekowi słabemu, dotkniętemu chorobą, nierzadko u początku, bądź u kresu swojej życiowej drogi.

Jest rzeczą oczywistą, iż oczekiwanie szczególnej empatii od personelu medycznego musi być rozsądne. Psychologia zna fatalne skutki zbyt ścisłej identyfikacji personelu z chorymi, opisane w tzw. „syndromie wypalenia” (*burn-out syndrome*). Jeżeli lekarz bądź pielęgniarka „umiera” z każdym umierającym i cierpi na równi z każdym cierpiącym, nie tylko wkrótce nie będą mogli kontynuować swojej pracy, ale sami nieuchronnie staną się pacjentami. Jednak wydaje się, iż polskiej służbie zdrowia bardziej zagraża inna skrajność.

Jest nią instrumentalne podejście do pacjenta jako do jednostki chorobowej, jako do chorej wątroby, czy nerek. Rezultatem takiego podejścia jest nie tylko szorstkość w odnoszeniu się do pacjenta, ale w skrajnym przypadku – brak wrażliwości na chorego człowieka oraz zaniedbania, które łatwo mogą skończyć się tragicznie. Wydaje się, iż właśnie specyfika zawodów związanych ze służbą zdrowia powinna przyczynić się do położenia większego nacisku w procesie kształcenia na przygotowanie psychologiczne, ale także duchowe. Jeżeli u podstaw relacji między lekarzem/personalem medycznym a chorym nie będzie stało przekonanie o świętości życia ludzkiego, szybko przerodzi się ona w relację analogiczną do tej, jaka zachodzi między mechanikiem samochodowym a zepsutą skrzynią biegów.

We współczesnej światowej dyskusji z dziedziny etyki medycyny nie brak głosów, traktujących kategorię świętości życia jako relikw związany z religijnymi przekonaniami przeszłości, relikw, który należy jak najszybciej odtabuizować i zastąpić o wiele bardziej czytelną i klarowną kategorią jakości życia. Traktowanie pacjentów zgodnie z tą kategorią pozwoliłoby rzekomo uniknąć wielu niepotrzebnych dylematów moralnych. Pozwoliłoby przerwać bezsensowne podtrzymywanie życia ludzi, których jakość życia jest zerowa (a może nawet „ujemna”!?), a zaoszczędzone środki przeznaczyć dla przywrócenia wysokiej jakości życia tym, dla których jeszcze coś można zrobić. W takiej perspektywie Mateusz – prawdopodobna ofiara „sesji zdjęciowej” śląskich pielęgniarek – musiałby zostać określony jako życie bezwartościowe, a czyn sióstr można by wprowadzić nazwać odrobinę nieeleganckim, ale w żadnym wypadku niemoralnym, czy przestępczym. W takiej logice nie ma po prostu miejsca dla słabych. Tym bardziej, iż w ustawodawstwie niektórych krajów dzieci upośledzone mogą być w majestacie prawa abortowane, nawet w szóstym miesiącu ciąży, a więc w wieku, w jakim przyszedł na świat Mateusz.

Warto w tym kontekście przypomnieć jeszcze raz nieustanne, żarliwe apele Jana Pawła II do środowisk medycznych z nagłym wezwaniem do szacunku dla świętości życia. Zwracając się do uczestników Międzynarodowego Kongresu Katolickich Położników i Ginekologów w 2001 r. papież powiedział: „Chrześcijańscy ginekolodzy, położnicy i położne są w każdej epoce powołani, aby być sługami i strażnikami życia, ponieważ Ewangelia życia znajduje się w samym centrum orędzia Chrystusa [...]. Jednakże wasz zawód stał się jeszcze ważniejszy, a odpowiedzialność większa w dzisiejszym kontekście kulturowym i społecznym, w którym nauka i sztuka medyczna zdają się tracić swój wrodzony wymiar etyczny, zaś

pracownicy służby zdrowia mogą doznawać [...] często silnej pokusy manipulowania życiem, a czasami wręcz powodowania śmierci” (nr 2).

Wydaje się, iż świadomość świętości życia i szacunku dla niego jest wśród polskich lekarzy i pielęgniarek na tyle żywa, iż szokujące zachowanie katowickich pielęgniarek można uznać za przypadek incydentalny, który nie powinien zachwiać zaufania do całej służby zdrowia. Wiele pielęgniarek wykonuje swój zawód z podziwu godnym poświęceniem, mimo gorsząco niskiego wynagrodzenia i nieraz fatalnych warunków pracy. Nie wolno jednak zmniejszyć wysiłków w dziedzinie pielęgnowania wśród pracowników zawodów medycznych etosu służby człowiekowi i szacunku dla ludzkiego życia, niezależnie od życiowego etapu, na jakim znajduje się pacjent, ale też niezależnie od jakichkolwiek rankingów w zakresie „jakości życia”. Obyśmy nie dożyli czasów, gdy do cierpienia, związanego z chorobą dojdzie jeszcze troska o to, czy moja jakość życia jest na tyle wysoka, by zasłużyć na opiekę i pomoc. Jeżeli tak by się miało stać, wtedy biada słabym!

Grudzień 2005

Szczęście z próbówki

Kontrowersja, jaką wywołało powołanie na stanowisko wiceministra w Ministerstwie Pracy i Polityki socjalnej Jolanty Kluzik–Rostkowskiej było związane z jej deklaracją poparcia dla zapłodnienia in vitro. Choć deklaracja ta została przez panią minister obwarowana pewnymi warunkami, generalnie wyraziła ona opinię, iż niemożność posiadania własnego dziecka jest związana z tak dotkliwym cierpieniem dla potencjalnych rodziców, iż należy sięgnąć po wszystkie dostępne środki, by cierpienie to złagodzić. Trudno oczywiście polemizować z faktem, iż bezdzietność jest – i zawsze była – bolesnym doświadczeniem, nawet, jeżeli weźmie się pod uwagę, że nie łączy się ona już dzisiaj ze społeczną stygmatyzacją. Można jednak zapytać, czy łagodzenie tego dotkliwego braku za pomocą techniki zapłodnienia pozaustrojowego jest drogą właściwą. Powszechnie znane jest stanowisko Kościoła katolickiego, który postrzega zapłodnienie in vitro jako procedurę nieetyczną. Jak w każdym innym przypadku, gdy Kościół zabiera głos w kwestiach związanych

z etyką medyczną, stanowisko to ma swoje uzasadnienie, które warto przywołać, gdyż w dyskusji medialnej jest ono nierzadko prezentowane fragmentarycznie.

Kto chciałby dopatrywać się źródeł sprzeciwu Kościoła jedynie w fakcie ingerencji techniki medycznej w życie ludzkie, będzie rozczarowany. Nie istnieje bowiem pryncypialne „nie” Kościoła wobec rozwoju nowych technik medycznych. Wręcz przeciwnie, wszystko to, co pozwala lepiej wspierać i przywracać ludzkie zdrowie i ratować ludzkie życie, jest przez Kościół witane z podziwem i uznaniem, z jednym wszakże zastrzeżeniem. Kościół w swej ocenie etycznej nigdy nie abstrahuje od jakości moralnej środków prowadzących do szczytnych celów i od ceny, jaką człowiek musi zapłacić za postęp medyczny. W wypadku zapłodnienia in vitro cena ta jest niezwykle wysoka. Procedura ta bowiem polega na wytworzeniu w laboratorium (popularnie: „w probówce”, chociaż zapłodnienia in vitro dokonuje się na płytce Petriego) całego szeregu embrionów, powstałych z połączenia pobranych po uprzedniej stymulacji hormonalnej kobiety komórek jajowych i z uzyskanych zazwyczaj na drodze masturbacji męskich gamet rozrodczych. Kilka z nich (zazwyczaj dwa do trzech) zostaje po kilku dniach hodowli w laboratorium przeniesionych do macicy kobiety, reszta zostaje zamrożona, by oczekiwać na kolejne transfery, o ile ten pierwszy nie przyniesie spodziewanego efektu. W rezultacie, gdyby chciało się określić procentowo skuteczność tej metody, to okaże się, że aby urodziło się jedno zdrowe dziecko, statystycznie cztery, pięć, bądź więcej embrionów musi zostać zużytych (ginie na skutek nie zagnieżdżenia się w macicy), bądź pozostaje w zamrażarce, by po kilku latach zakończyć swoją egzystencję, gdy będzie trzeba zrobić miejsce na nowe embriony.

W krajach zachodnich istnieją ścisłe procedury, regulujące wytworzenie, ale także kontrolowane niszczenie tzw. „nadliczbowych embrionów”. Jest to jeden z najpoważniejszych zarzutów wobec tej drogi zaspokajania jak najbardziej skądinąd zrozumiałej potrzeby posiadania dziecka przez bezpłodne pary. W przypadku niezdolności danej pary do produkcji gamet rozrodczych (bądź też ich nieprzydatności), stosuje się gamety pobrane od dawców. W jakim jednak sensie dziecko poczęte z obcych (wobec dwojga potencjalnych rodziców) gamet jest jeszcze dzieckiem własnym?

To jednak nie jest koniec listy poważnych wątpliwości etycznych. Kościół katolicki zwraca uwagę na inną jeszcze okoliczność. Warto zapytać, czy istota ludzka powinna stać się produktem laboratoryjnym, tzn. czy początek jej życia może zostać tak dalece uniezależniony od wzajemnego miłosnego oddania rodziców, iż oddanie to zostaje po prostu zastąpione

techniką laboratoryjną? Dla mentalności technokratycznej, w której jedynym – a przynajmniej głównym – elementem oceny etycznej jest skuteczność, zarzut ten wydaje się być bezsensowny, jednak czy jest takim naprawdę? Kościół ostrzega przed niebezpieczeństwem związanym z oddzieleniem prokreacji od aktywności seksualnej rodziców i zredukowaniem okoliczności poczęcia człowieka do re-produkcji. Poczęcie dziecka w ten sposób, chociaż w żaden sposób nie sprawia, iż będzie ono człowiekiem „innego rodzaju”, godzi w jego prawo do bycia owocem miłości rodziców, a nie produktem laboratoryjnym.

Niestety, obserwowana z perspektywy 27 lat (od chwili przyjścia na świat pierwszego dziecka „z probówki”) dynamika rozwojowa technik zapłodnienia ustrojowego, jedynie potwierdza wyrażone wyżej obawy. Nic nie zostało po deklaracjach polityków i środowisk medycznych, iż będzie to technika, pomagająca w urodzeniu dzieci osobom związanym małżeństwem. Dziś coraz bardziej staje się ona techniką macierzyństwa i ojcostwa „na życzenie”, niezależnie od więzi łączącej rodziców, albo nawet niezależnie od tego, czy jest to związek hetero- czy też homoseksualny, nie mówiąc już o samotnych kobietach, które chcą po prostu mieć dzieci, chociaż zdecydowanie odrzucają jakikolwiek związek z partnerem. Pytanie o jakość otoczenia, w którym przyjdzie żyć i wzrastać poczętemu in vitro dziecku staje się coraz bardziej drugorzędne. Podobny los spotkał również deklaracje, iż embriony będą produkowane jedynie dla celów reprodukcyjnych.

Nie brak krajów na świecie, które dopuszczają do produkcji embrionów, by zostały one następnie zużyte w badaniach nad ulepszaniem metod wspomaganego rozrodu, bądź w doświadczeniach z użyciem embrionalnych komórek macierzystych. Szczególnie „embriony nadliczbowe”, pozostałe z zapłodnienia in vitro w laboratoryjnych zamrażarkach i – jak argumentują zwolennicy – i tak zdane na zagładę, wydają się być predestynowane do odegrania w tym kontekście roli dobroczyńców ludzkości. Jest to jednak rola wymuszona, cynicznie oczekiwana przez społeczeństwo od przeznaczonych wcześniej bez skrupułów na śmierć skazańców. Przypadki selekcji embrionów przed transferem do macic również nie należą do rzadkości. Prawo do kontynuowania swojej egzystencji uzyskują jedynie embriony zdrowe, a w niektórych przypadkach również takie, które odpowiadają oczekiwaniom rodziców. I chociaż selekcja ze względu na płeć dziecka jest w większości krajów oficjalnie zakazana, jednak faktycznie ma miejsce (np. w Indiach).

Wobec powyższych faktów trudno nie pytać o etyczną cenę, jaką płaci się za „szczęście z probówki”. Trudno z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej przyklasnąć takiemu medycznemu postępowi. Słuszność pragnień nigdy nie oznacza automatycznej kanonizacji prowadzących do ich realizacji środków.

Ks. Marian Machinek MSF